

Najpierw błysnęło, a kilka sekund później rozległ się grzmot. Anaid poderwała się gwałtownie, zapominając, że znajduje się na piętrowym łóżku w przyczepie kempingowej, tuż pod metalowym sufitem. Natychmiast uderzyła się w głowę i krzyknęła. Zamiast głosu Selene usłyszała głos mężczyzny, miękki jak irlandzka ballada, kojący.

– Śpij, Anaid, to tylko burza. Śpij, córeczko.

Opadła na poduszkę i zdrzemnęła się znowu, ukołysana łagodną, nuconą przez ów męski głos melodią. A może uspokajały ją tak czyjeś ręce? Pograżona w półśnie czuła, jak duża dłoń czule gładzi ją po twarzy i odgarnia grzywkę z czoła. Dłoń była naprawdę duża – zakrywała jej niemal całą twarz – szorstka, ciepła i trochę niezgrabna, jakby dawno nikogo nie dotykała.

Ta dłoń, stwardniała od pracy i pokryta bliznami, nawykła do zaciskania się na grubych linach i rękojeściach mieczy, należała do Gunnara, który czuwał, pograżony w milczącej i pełnej zachwyty kontemplacji uspionej córki.

Selene też nie zmrzyła oka. Nieruchoma na swoim łóżku, zwinięta w kłębek, starała się odganiać cisnące się jej do głowy myśli, by Gunnar przypadkiem ich nie podsłuchał albo nie wyczuł.

Oboje tak byli zasłuchani w siebie, że nie zwracali uwagi na to, co działo się za oknem, dopóki wichura nie zaczęła niebezpiecznie kołysać przyczepą. Kiedy w dodatku deszcz, smagający dach milionem kropel, zamienił się w grad, także Anaid rozbudziła się ostatecznie. Coś jej mówiło, że ta burza nie wróży niczego dobrego.

Gunnar najwyraźniej podzielał jej obawy.

– To Baalat.

Selene – czy to z przekory, czy z przekonania – natychmiast zaprotestowała:

– To zwyczajna burza.

Burza – i owszem, ale na pewno nie zwyczajna. We wściekłym porywie, jakby urażona lekceważeniem Selene, wichura uderzyła w lewy bok wozu, wpychając do środka szybę okienka w malutkiej kuchni. Kawałki lodu, wielkości skowronczych jaj, zaczęły wpadać do środka.

– Odsuń się! – krzyknął Gunnar do Selene, która instynktownie rzuciła się naprawiać szkody.

Gdy przycupnęła w kącie, złapał przymocowany do podłogi laminowany stolik i pociągnął. Mięśnie karku i ramion napięły mu się jak postronki. Stolik ustąpił i Gunnar zasłonił nim puste okno, powstrzymując ostrzał lodowych pocisków.

– Szybko! Pomóżcie mi! Trzeba to podeprzeć. Anaid skoczyła na równe nogi i na bosaka poskoczyła w jego stronę.

– Uważaj na szkło!

Czuła na stopach zimne ukłucia lodu, a może potłuczonej szyby – wszystko jedno, i tak nie miała czasu szukać butów. Kilka minut później Selene zgarniała szufelką grad z podłogi, Gunnar zabijał pechowe okno, używając w tym celu stolika, którego nogi podpierała ramionami Anaid, przytrzymując go na odpowiedniej wysokości. Kiedy Gunnar odłożył młotek i wytarł pot z czoła, wiatr i deszcz nagle zelżały.

Anaid była oczywiście zadowolona, że przyczepa nie zostanie jednak rozniesiona w puch, ale odczuwała zarazem rodzaj zniechęcenia na myśl, że cała ich praca okazała się właściwie niepotrzebna.

Selene nie omieszkła, rzecz jasna, wyrazić podobnej opinii na głos.

– Świetnie. Niszczysz stolik, dziurawisz podłogę i ściany, a wszystko to bez sensu. Popatrz, ledwie mży.

Gunnar wszakże nie zwrócił na nią większej uwagi.

– Ciii... Nie czujesz?

Owszem, czuła. Już od dłuższej chwili czuła, jakby czyjaś lodowata ręka obmacywała ją, próbując sięgnąć do wnętrza. Selene starała się to ignorować, ale Gunnar miał rację. Nie chciała jednak tego przyznać.

- Czuję głównie irytację. Już się przejaśnia.
- To cisza przed burzą.
- Burza już była, jakbyś nie zauważył.
- Mylisz się. To był dopiero wstęp.

Anaid, przyznając mu w duchu rację, skupiła się na tym, by WIDZIEĆ poprzez ciemność. I wkrótce zobaczyła na niebie cień, który – niby magnes – przyciągał do siebie chmury, piętrząc je i niebezpiecznie rozdymając. Były to prawdziwe monstra przybyłe z najodleglejszych zakątków ziemi, postulujące potężnemu zakłęciu, które koncentrowało w nich moc tysiąca nawałnic.

Jednakże próbę WSŁUCHANIA SIĘ w zagrożenie udaremniła córce Selene, otwierając z rozmachem drzwi i wykazując się wyjątkową nawet jak na siebie nadpobudliwością.

- Widzicie? To deszcz, zwykły deszcz. Może co najwyżej przemoczyć.

Po tych słowach wyskoczyła z przyczepy i uniósłszy ramiona, zaczęła wirować, śmiejąc się i wykrzykując:

- Woda, chłodna, przepyszna woda!

Krople spływały jej po twarzy i kapały na język, który wystawiła jakby w nagłym ataku pragnienia.

- Chodź, Anaid, potańczymy jak zwykle!

Anaid przypatrywała się temu w osłupieniu. Ubranie kleiło się Selene do ciała, włosy ociekały wodą. W całej tej swojej ekstrawagancji matka wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle. Widoczne za jej plecami migdałowce białeły w ciemności, nie od kwiatów jednak, lecz od bryłek lodu, które tkwiły gdzieś między ogołoconymi przez wichurę gałęziami. Pnie, smagane przez przybierające znów na sile poddmuchy, zdawały się skręcać jak ciała w agonii.

- Mamo, wracaj! To niebezpieczne!
- Chodź, Anaid, porozkoszuj się wiosenną burzą!

Nie, to nie była wiosenna burza. Anaid, obdarzona mocą potężniejszą od mocy matki, WIDZIAŁA, jak w połśniewających na ziemi kryształkach lodu, niczym w zwierciadłach, odbijają się szpony Baalat.

- Mamo! To ona! Jest tutaj! Pamiętasz, co się stało? Sama ją wezwałam!

Selene przystanęła. Cała przemoczona, dysząc, wzięła się pod boki i oświadczyła z mocą:

– To wszystko sztuczki twojego ojca. To on nas tropił i zaatakował, abyśmy się przestraszyły i pomyślały, że jesteśmy w niebezpieczeństwie.

W tym samym momencie Gunnar przeskoczył ponad córką – rzecz niełatwa, jako że Anaid była już dość wysoka – można by właściwie rzec, iż przefrunął, wylądował koło Selene i bez słowa mocno uderzył ją w głowę. Następnie przerzucił sobie nieprzytomną przez ramię jak szmacianą lalkę i rzucił się pędem w stronę migdałowców. Ręce i nogi. Selene kotłowała się w rytm jego susów.

Wszystko to stało się w ciągu paru sekund. Wstrząśnięta Anaid dopiero po chwili wyciągnęła *atame* i ruszyła ratować matkę z rąk tego, kogo jeszcze parę minut wcześniej uważała za najwspanialszego ojca na świecie.

Jak mogła być aż tak ślepa? Jak mogła dać się w ten sposób podejść? Biegając, krzyczała: „Puść ją”, albo może tak jej się tylko zdawało, nie miała pewności, bo się nie słyszała. Skupiona na pościgu za zdrajcą, któremu pochopnie zaufała, nie zauważyła nawet, że powietrze rozbrzmiało nagle potwornym szumem spiętrzonych mas wody, zagłuszającym wszystkie inne dźwięki. Zorientowała się zbyt późno.

I obejrzawszy się, zmartwiała.

Z tyłu błyskawicznie zbliżała się gigantyczna fala, zmiatając wszystko, co znajdowało się na jej drodze. Jak inne powodzie nadeszła nagle, choć bynajmniej nie wzięta się znikąd. Głębokie, wyschłe koryto strumienia wypełniło się wodą górskich potoków, które w mgnieniu oka zamieniły się w rozszalałą rzekę, żarłocznymi liźnięciami porywającą drzewa, skały i zwierzęta.

Anaid stała jak skamieniała na samym środku koryta, które już za chwilę wypełnić się miało wodą. Ryk żywiołu paraliżował ją tak, jak jej przodków musiał niegdyś paraliżować ryk lwa. Zahipnotyzowana niszczycielską mocą kataklizmu, nie była zdolna się ruszyć. Nawet gdy poczuła obejmujące ją ramiona, nie ocknęła się z transu. To Gunnar, ułożywszy Selene na porośniętym sosnami pagórku, przybiegł na pomoc córce, podniósł ją jak piórko i bezceremonialnie wyrzucił na brzeg. Zaraz potem rozpedzona woda uderzyła w mężczyznę z całą siłą i porwała go niby wiotką gałązkę.

– Nie! – krzyknęła Anaid, zrywając się z pokrytej sosnowymi igłami i żywicą ziemi, wpatrzona w migającą wśród wściekłych fal postać ojca.

Widziała, jak Gunnar próbuje się chwytać przepływających obok gałęzi, żadna z nich nie była jednak dość mocna, by utrzymać taki ciężar.

Selene leżała nieprzytomna, a Gunnar coraz rzadziej wypływał na powierzchnię. Anaid rozumiała, że jeśli mu nie pomoże, ojciec za chwilę utonie. Miała naprawdę mało czasu, by zebrać się w sobie.

Skupiła całą uwagę na wodzie. Nigdy wcześniej nie próbowała się z nią mierzyć i przewidywała trudności, ale jeśli wodne Omar potrafiły uśmierzać oceany, ona, wtajemniczona przez Klan Delfinicy, mogła chyba powstrzymać powódź. Uniosła ręce dłońmi do góry i zaintonowała w starym języku:

– *Osneted semenditlor!*

Wydobywające się z jej ust słowa emanowały mocą, która ogarnęła jej umysł i ciało, by po chwili objąć też przetaczającą się w dole rzekę. Anaid siłowała się z nią przez długą chwilę, odnosząc wrażenie, że trwa to już całą wieczność. Prąd był potężny i siła przywoływanej w pojedynkę magii nie wystarczała, by go ujarzmić. Anaid zaczynała słabnąć, czuła sztywnienie palców i bolesne skurcze we wzniesionych ramionach. Nie poddawała się jednak – chodziło przecież o życie Gunnara. Stała wyprostowana, nieustępliwie mierząc się z chaosem, aż wreszcie napięcie powoli zelżało, rzeka zwolniła i opadła, by w końcu przemienić się w nieszkodliwy potok.

Anaid, całkowicie wyczerpana, opuściła ręce i przymknęła powieki, ale zaraz potem, odetchnąwszy głęboko, rzuciła się tam, gdzie, jak sądziła, należało szukać Gunnara. I rzeczywiście, znalazła go kilkaset metrów dalej: był siny i nie oddychał. Nie tracąc głowy, uklękła, przyłożyła dłonie do jego piersi i nacisnęła, by resztką sił spróbować wypompować z niego wodę, blokującą mu płuca i tchawicę. Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy – pracowała wytrwale i w końcu z ust nieprzytomnego wypłynął cienki strumyczek. Potem Gunnar zakrzuszył się i zacharczał. Ale nie odzyskiwał świadomości. Anaid pochyliła się nad nim, zatkała mu nos i zrobiła sztuczne oddychanie, nie zapominając o masażu serca. Kiedy poczuła, że życie zaczyna powoli wracać w to ogromne ciało, wzruszyła się jeszcze bardziej niż wtedy, gdy zobaczyła ojca po raz pierwszy, stojącego w progu przyczepy kempingowej. Było tak, jakby asystowała przy jego powtórnych narodzinach.

Gunnar zamrugał i otworzył oczy, jednym spojrzeniem oceniając sytuację. Był szybki, bardzo szybki. Pierwszy zrozumiał, co się święci, i uznał, że lepiej Selene znokautować niż wdawać się z nią w kłótnie i pozwolić, by się utopiła.

– Co z twoją mamą? – wyszeptał, wpatrując się w Anaid.

– Nic jej nie jest, leży tam, gdzie ją zostawiłeś.

Gunnar dźwignął się na nogi i sam, bez pomocy córki, zrobił kilka chwiejnych kroków. Potem przykucnął, wymiotował wodę, której się opił, i już minutę później sprawiał wrażenie, jakby przed chwilą wcale nie otarł się o śmierć, lecz jedynie zanurkował dla przyjemności.

– To ty zatrzymałaś wodę? – spytał, ujmując Anaid za rękę.

– Inaczej byś się utopił.

– Musisz być bardzo zmęczona. To straszny wysiłek.

W tym momencie Anaid uświadomiła sobie, że faktycznie ledwie stoi.

– Najważniejsze, że już po wszystkim – westchnęła.

Gunnar wziął ją na ręce i dopiero wtedy sprostował:

– Przykro mi, ale to dopiero początek.

Błyskawica oświetliła okoliczne pola jak raca poprzedzająca wybuch petardy. Potem niebo rozprysło się na tysiące kawałków. Potężne wyładowania następowały jedno po drugim, pioruny uderzały wszędzie wokół, błyski oślepiały, huk omal nie rozrywał bębenków. Gunnar wszakże, chcąc ratować Selene, uparcie dążył ku sosnowemu zagajnikowi, który z bezpiecznej kryjówki zmienił się nagle w śmiertelną pułapkę, ponieważ rażone piorunami drzewa padały teraz jedno po drugim.

Anaid pomyślała półprzytomnie, że to chyba koniec świata. Nie było gdzie się schronić. Ogień i elektryczność siały prawdziwe spustoszenie. Baalat znajdowała się tuż-tuż, a ona, Anaid, nie miała siły ruszyć palcem.

Dotarli wreszcie do miejsca, gdzie Gunnar zostawił Selene, ale znaleźli tam jedynie opaskę, którą zwykła przytrzymywać włosy.

Gunnar postawił Anaid na ziemi, krzycząc rozpaczliwie:

– Selene!

A w następnej chwili już pędził jej szukać.

Przeżrana Anaid chciała zawołać, żeby nie zostawiał jej samej, lecz nie potrafiła wydobyć z gardła żadnego dźwięku. Wkrótce głos i postać ojca rozplynęły się w oddali. Z tego właśnie momentu skorzystała Baalat.

Anaid poczuła – tym razem bardzo wyraźnie – jak wilgotna, lepka macka sunie po jej twarzy, usiłując wpełznąć do ucha. Wstręt okazał się silniejszy niż strach i Anaid jednym ruchem straciła niewidzialne obrzydlistwo. Na skórze rąk pozostała jej jednak kleista, podobna do miodu substancja, od której zeszywniały i straciły czucie obie dłonie. Palce, nagle jakby obumarłe, stwardniały – na jednym z nich tkwił bezużyteczny w takiej sytuacji pierścienek ze szmaragdem.

Nie mogła wezwać Jusufa ibn Taszfina. Była całkiem sama, zdana na własne siły.

Stwierdziła ze zgrozą, że odrażająca, zimna macka wypycha jej się teraz do jednej z dziurek w nosie. Anaid zacisnęła zęby, opanowując mdłości i nagłą chęć, by zacząć się wyrwać. Pomna, że chaotyczna szamotanina w niczym jej nie pomoże, zebrała siły: należało użyć magii, zablokować umysł przed obcym wpływem.

Udało jej się kosztem ogromnego wysiłku woli.

I podczas gdy ziemia dygotała pod uderzeniami gromów, krzaki płonęły, potrzaskane drzewa przewracały się z suchym trzaskiem, a Gunnar desperacko poszukiwał Selene, Anaid, leżąc na warstwie sosnowych igieł, z gałkami ocznymi uciekającymi pod powieki, toczyła milczącą walkę z Baalat. Jednakże magia nekromantki powoli pokonywała stawiany przez dziewczynkę opór. Umysł Anaid pozostawał zablokowany, lecz jej ciało słabło od kolejnych miotających nim spazmów, które stopniowo zaczynały się upodabniać do agonalnych drgawek. Zęby zaciskały się aż do bólu, każda komórka, każdy mięsień i każdy nerw napinały się do ostatecznych granic. Nie mogła już dłużej. Ostatecznie była tylko człowiekiem, jej serce groziło zatrzymaniem.

A to oznaczało śmierć.

Śmierć?

Anaid zawahała się i ta chwilowa dekoncentracja wystarczyła Baalat w zupełności.

Straszna Odish wdarła się do wnętrza dziewczynki przez usta, uszy i nos, zajęła jej ciało i mózg, co wywołało potworny ból głowy.

Anaid krzyknęła, ale nikt jej nie usłyszał.

Baalat opanowywała kolejne połączenia nerwowe, owijała się jak wąż wokół najtajniejszych myśli.

Anaid miała okropne wrażenie, że lodowata dłoń bezlitośnie miażdży jej wspomnienia z dzieciństwa, wytacza krew z jej pamięci, grzebie w uczuciach. Baalat szukała jakiegoś śladu po berle i w końcu dopięła swego: wiedziała już teraz, że upragnione insygnium leży w przyczepie, owinięte w ręczniki i schowane w walizce.

Anaid wciąż jeszcze udawało się zachowywać własną świadomość, nie ulegało jednak wątpliwości, że wkrótce ją utraci, a wtedy jej ciało zostanie zdane na łaskę prześladowczyni.

– Nie poddawaj się – szepnął jakiś zimny głos tuż obok.

Odwoływał się do tej drobnej cząstki jej umysłu, która pozostawała niezależna – maleńkiego przyczółka wolności na terytorium zajęтым przez wroga. Anaid próbowała zastosować się do tej rady, ale jej pamięć wypełniały teraz budzące grozę sceny składania ofiar, dziwne obrazy rzymskich legionów maszerujących w chmurze pyłu...

– Anaid, broń się! – syknął znowu głos.

Zebrała resztki energii, przekonując samą siebie, że ów dziesiętnik, który wraz ze swą lancą stoi jej przed oczami, to nie jej własne, lecz cudze wspomnienie. Odepchnęła je więc i Rzymianin zniknął.

– Doskonale. A teraz wyrzuć z siebie Baalat. Zamknij swój umysł – zdecydowanie nakazał głos.

I Anaid usłuchała.

Powoli, lecz konsekwentnie wypierała z siebie tę masę obrazów, których nie widziała na oczy, okruchów życia, którego nie przeżyła, potworności, z którymi na szczęście nie miała nic wspólnego. I czuła, jak Baalat się waha, a potem wycofuje. A raczej pozwala się wywlekać na zewnątrz. Anaid zrozumiała: to pomagał jej tamten głos.

– Teraz, Anaid, teraz! – zawołał w pewnej chwili.

Nie zmarnowała okazji. I oto znowu była wolna. Z trudem łapiąc powietrze, podniosła drżące, lecz znów sprawne ręce do twarzy. Dygotała jak listek osiki. W każdej chwili spodziewała się nowego ataku. Ten jednak nie nastąpił.

Między drzewami snuła się lepka mgła. Anaid rozglądała się w zdumieniu. Gdzie się podziała Baalat? Co z głosem, który tak jej pomógł? Cisza, pustka. Nikogo. Przesunęła dłońmi po nogach, uzdrawiając poszarpane tkanki. Dzięki magii zmaltretowane ciało wkrótce odzyskało poprzedni wygląd. Anaid dźwignęła się na nogi, lecz kiedy, niepokojąc się o pozostawione w przyczepie berło, chciała podbiec, zawrót głowy natychmiast powalił ją na ziemię. I całe szczęście, bo w tej samej chwili trafiony piorunem pojazd wyleciał w powietrze: pojemniki z benzyną zadziały jak bomba, a płomień, które wystrzeliły z resztek przyczepy, były tak wysokie, że osmaliły czubki nielicznych oszczędzonych przez burzę drzew.

Anaid, ogłuszona wybuchem, skuliła się, usiłując osłonić głowę przed deszczem odłamków i popiołu. I wtedy, kątem oka, zobaczyła berło: lśniąc, szybowało w powietrzu jak ognisty ptak, by po doskonałym łuku opaść ulegle do stop Anaid.

– Nie dotykaj go! Nie dotykaj! – dobiegł ją z oddali głos pędzącej między sosnami Selene.

Anaid była oszołomiona. Wokół działo się tyle dziwnych rzeczy... Potrzebowała rady. Potarła więc pierścionek ze szmaragdem i natychmiast stanął przed nią Jusuf, dzierżąc w dłoni wzniesiony miecz.

– O pani, jeśli pytaacie, co zrobić z berłem, odpowiem: należy do was.

– Czy powinnam go użyć?

– Wszak upadło do waszych stop. Pozwólcie jednak, że pierwiej wezwę swoich wojowników.

Tak też uczynił. Milczący, niewidzialni, zahartowani w bojach rycerze otoczyli Anaid kręgiem. Ale ona nawet w ich obecności nie śmiała dotknąć berła, od którego bił żar.

- Anaid, to pułapka! – wydyszała, nadbiegając, Selene, z trwogą wymalowaną na twarzy.
- Uważaj! Nie jesteś gotowa, by nad nim zapanować, Baalat natychmiast skorzysta z okazji!